RÓK DRUGI.

—

№. 2

Warszawa

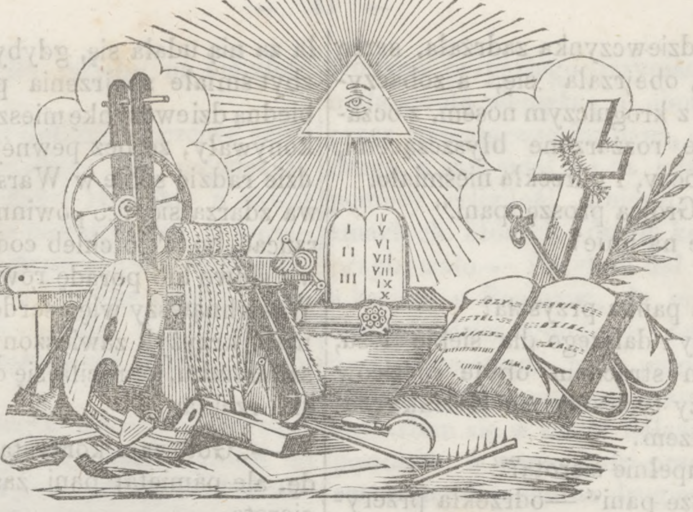
Dnia 30 Grudnia

(11 Stycznia)

1857.

Niedziela

2ga po NOWYM ROKU.



KANTOR GŁÓWNY
W DRUKARNI J. UNGER
przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80 półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.
Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Im lepiéj kto zna siebie, tem bardziéj w oczach własnych wydaje się nikczemnym, ani go ludzkie wzdymają pochwały.— Siebie za nic ważyć, a o innych dobrze i uprzejmie sądzić, wielka to jest mądrość i doskonałość. (O naślad. Chr. ks. I, Rozd. II).

Powiastki opowiadane z prawdziwych wydarzeń.

Kiedy padnie na cię trwoga,
Szczerze pomódl się do Boga,
A Bóg dobry cię wysłucha,
I skrzepi słabego ducha.

I.
Opiekun sieroty.

—

Już to dawno, bo lat temu przynajmniéj dwadzieścia, w Warszawie ulicą Chłodną od Wolskich rogatek, przy końcu miesiąca czerwca, przed samym wieczorem szła młoda dziewczynka, schludnie, czysto, lecz nader biednie ubrana, i licząca zaledwie szesnaście lat wieku.—Pod pachą trzymała malutkie zawiniątko, zawierające widać cały jéj majątek, a na twarzy ocienionej prześlicznemi ciemno-bląd włosami, choć schorzałéj, bladéj i nędznéj, znać było rysy piękne, regularne, i odznaczone jakby pewną szlachetnością, która mimowoli każdego oczy ku niej pociągała.— Postępując zwolna, w płóciennkowéj staréj sukieneczce, odziana z głową, także starą, wyszarzaną chustką, nieśmiało poglądała po przechodzących, a krok jéj niepewny jakby wahający się, jasno przekonywał, że dziewczynka ta musi być nie tutejszą, że nie zna ulic, i że może nawet pierwszy raz jest w Warszawie.— Kiedy minęła plac, na którym teraz stoi kościół ś. Karola Boromeusza i weszła w ulicę Elektoralną, przy ulicy Białéj zatrzymała się, spojrzała i w prawo i w lewo, obejrzała się po oknach kamienic, po szyldach, i bardzo się zafrasowała, tak dalece, że aż westchnęła i z ócz łzę jak groch upuściła.— Kiedy tak biedaczka waha się, i sama widać nie wie, w którą się ma stronę obrócić, z drugiéj strony ulicy podeszła ku niéj w srednim wieku kobieta otyła, wcale porządnie ubrana, i obejrzawszy dokoła dziewczynkę, szepnęła do siebie.

—„Może to być z tego coś kiedyś, ale jak dziś, to strasznie zbiedzona.—Ha! ale cóż robić?

I domówiwszy tych słów, spojrzała bystro w oczy dziewczynce, i rzekła suchym cierpkim głosem, chociaż widocznie starała się, żeby był jak najłagodniejszy.

—„A zkąd to jesteś moja panienko?

Na to zapytanie dziewczynka zadrżała, serce jéj mocno uderzyło, obejrzała się, a zobaczywszy obcą kobietę, z krogulczym nosem, z oczami jak dwa węgle rozżarzone błyszczącemi, spuściła bojaźliwe oczy, i odrzekła nieśmiało.

—„Ja jestem z Grójca proszę pani.“

—„A jak pannie na imie?

—„Helenka.“

—„A pocóżeś tu panna przyszła?

—„Szukać służby i dalszego dla siebie losu, bo przed tygodniem straciłam oboje rodziców na cholerę.“—i przy tych słowach Helenka rzewnym załkała płaczem.

—„Toś panna zupełnie sierota?“

—„Sierota, proszę pani“ —odrzekła przerywanym głosem Helenka—„bez ojca, bez matki, bez brata nawet....

—„Nawet bez brata“— powtórzyła nieznajoma jakby z pewną radością, tak, że aż to zwróciło uwagę Helenki, ale w téj samej chwili przybierając minę smutną, i serdecznie wzdychając, mówiła daléj.“

—„Nie płacz panna, nie płacz, oj! znam ja, co to być sierotą, co to być samą na tym wielkim świecie“—a ocierając oczy chustką i zasłaniając nią całą twarz prawie, mówiła daléj nawpół z płaczem:— a świat zły.... nie przytuli sieroty, nie poratuje.... ale ją odepchnie, i ledwo że nie zatratuje nogami.— Oj! znam ja to dobrze, ale panna się nie lękaj, i dziękuj Bogu, żeś mnie napotkała.— Ja cię moja Helenko, wezmę naprzód do swojego domu, a jak wypoczniesz, wyładniejesz, wynajdę ci prześliczną służbę, i będziesz szczęśliwą, i na całe życie wdzięczną dla pani Aleksandrowéj. Trzeba ci bowiem wiedzieć, że mnie zna pół Warszawy, a wszystko najwięksi, najbogatsi panowie, znaczniejsi urzędnicy, bo ja się z biedactwem nie lubię wdawać, bo i cóż z biedaka zarobi?— A tu żyć trzeba, nic niepomoże, życie się o swoje dopomina.— Nie płacz więc, nie płacz, za moją pomocą wszystko to Bóg przemieni, będziesz i wesołą, i szczęśliwą, i prześlicznie ubraną, tylko pomału, potroszku, bo Kraków nie odrazu zbudowano.“— Teraz chodźmy Helenko.

Przez cały ciąg mowy pani Alexandrowéj Helenka choć słuchała, ale tak nieśmiało, tak bojaźliwie, że aż to zwracało uwagę przechodzących.— Wreszcie w całéj mowie pani Alexandrowéj, w głosie, w jéj poruszeniu, było tak coś odpychającego, że Helenka kto wie czyby była za nią udała się, gdyby nie ciekawe, a często zbyt śmiałe spojrzenia przechodzących, które biedną dziewczynkę mieszały i coraz więcéj przekonywały, że bez pewnéj opieki trudno jéj będzie radzić sobie w Warszawie, i że gdy takowa zdarza się, nie powinna jéj lekkomyślnie odrzucać, bo tak o chleb codzienny, jak i o poczciwe słowo lub poradę równie trudno na świecie. Westchnąwszy więc serdecznie, i przycisnąwszy mały krzyżyk zawieszony u piersi na czarnym sznureczku, obróciła się do swéj nowéj opiekunki i rzekła:

—„Gotowam korzystać z dobroci pani, i pójdę, ale pamiętaj pani zastąpić mi matkę, bo ja sierota......

—„Dobrze, dobrze moje dziecko“— odrzekła pani Aleksandrowa—„bądź spokojna, nic się nie frasuj, wszakże mną żaden widok zysku nie powoduje, tylko zwyczajnie miłosierdzie i poczciwość ludzka, bo i cóżbym ci wzięła?— Może tę starą sukienkę, albo chustkę?“

Ostatnie to dowodzenie zupełnie Helenkę uspokoiło, a uznawszy, że pani Aleksandrowa ma słuszność, ucałowawszy jéj serdecznie rękę, jakby z żalu, za okazaną cokolwiek nieufność, poprawiła zawiniątka, otuliła się lepiéj w chustkę, i pomyślawszy sobie w duchu z oczami w niebo wzniesionemi—„Boże! o mój Boże ratuj mnie“— poszła razem ze swą opiekunką.

Przez drogę pani Alexandrowa opowiadała jéj, jak to w Warszawie młodéj panience trzeba być ostrożną, jak nie ufać bylekomu, i słuchać jéj we wszystkiem, jako starszéj i doświadczonéj,— Jak ona niejednę już dziewczynkę podobną Helence pokierowała dobrze na świecie, że potem i za mąż dobrze powychodziły, i teraz często gęsto obdarzają ją przez wdzięczność dosyć kosztownemi podarunkami.— Że i Helenkę ten sam los spotkać może, aby ją tylko we wszystkiem słuchała, kochała jak matkę, i miała do niéj wszelkie zaufanie, i że wreszcie jest wdową po pewnym obywatelu Warszawskim, która utraciwszy i męża i dzieci, i wszystko, co miała najdroższego dla swego serca na ziemi, wzięła za zadanie swego życia, z funduszu, jaki jéj po mężu pozostał, żyć skromnie, chwalić Boga, i wspierać radą i pomocą biedne sieroty, które w Warszawie pozbawione opieki, bardzo łatwo mogą się obłąkać i przez brak do-

świadczenia wpaść w sidła, jakieby na nie złość ludzka zastawiła.

Słowa te tak malujące dobitnie poczciwe serce pani Alexandrowéj, obudziły jak największą wdzięczność w duszy młodéj Helenki, a nawet i żal, że mogła na chwilę powątpiewać o szczerości jéj mowy, i jak najlepszych dla niéj chęciach.— Uchwyciwszy więc rękę swojéj opiekunki, z uczuciem ją ucałowała, i przyciskając do piersi, rzekła od wzruszenia przerywanym głosem.

—„Dobra pani! —Bóg ci wynagrodzi za twoję dla mnie dobroć; będę Go codzień prosić za ciebie, a Bóg mnie wysłucha, jak wysłuchał już, kiedy przyszedłszy do Warszawy i nie wiedząc, gdzie się mam obrócić, dał mi ciebie za przewodniczkę i opiekunkę. — Ja zaś zyskawszy w tobie drugą matkę, stanę się wdzięczną i posłuszną córką.— Wierz mi pani... wierz, bo ja nie umiem kłamać.

Tu Helenka już znacznie ośmielona i pokrzepiona na duchu opowiedziała, że ojciec jéj był w Grojcu mularzem, i że mu się bardzo dobrze powodziło, że ona chodziła do miejscowéj szkółki, a późniéj uczyła się robót i różnych innych nauk u pewnéj pani w mieście.— Że późniéj ojciec jéj zachorował bardzo ciężko, a pozbawiony przez rok cały zarobku, bardzo zbiedniał, tak, że po wyprzedaniu wszystkiego z domu, utrzymywali się prawie tylko z litości mieszkańców, że wreszcie gdy ojciec umarł, matka ze zmartwienia najpierwsza w mieście dostała cholery, wkrótce poszła za ojcem, a gdy epidemia rozeszła się po całem mieście i zaraz jéj ofiarą padła ta pani, która ją uczyła, taki strach powstał między mieszkańcami, że każdy lękając się o siebie, stronił od niéj jak od zapowietrzonéj, i ona naraz jeden znalazła się prawie opuszczoną od wszystkich.

—„W tak smutnym stanie— mówiła daléj Helenka—„Bóg mnie natchnął zamiarem udania się do Warszawy i usposobienia się na szwaczkę, i w tym celu przypomniawszy sobie, że mam w Warszawie jakiegoś wuja stolarza Sebastyana, którego nazwiska zapomniałam, udałam się do miejscowego Proboszcza staruszka, bardzo zacnego, który udzieliwszy mi błogosławieństwo, i dawszy wiele nauk bardzo zbawiennych, żebym zawsze bała się Boga, Jemu ufała, kochała skromność, cnotę i pracę, i w niéj tylko szukała środków przyszłego utrzymania, zaopatrzywszy małą kwotą pieniężną, i obmyśliwszy furmankę przez wracającego furmana, wyprawił mnie w drogę, a sam udał się na miasto, dla niesienia pomocy religijnéj umierającym, i grzebania zmarłych, których z dniem każdym coraz więcej przybywało.— Przytem dał mi list do jednego z księży u Paulinów, ale nieszczęście chciało, żem go gdzieś zgubiła.— Zmartwiona, odurzona nieszczęściami, jakie przebyłam, wysiadłam z bryki przed rogatkami, i wszedłszy w miasto, gdy znalazłam się w takim hałasie przejeżdżających powozów, w wirze ludzi przechodzących i niezważających jeden na drugiego, zdało mi się, że jestem jakby w lesie, i nie wiem w którą się obrócić stronę.

Zrażona wszystkiem tem coraz więcéj tracąc odwagę, posuwałam się wolno w miasto, sama nie wiedząc, gdzie idę? oglądałam się na wszystkie strony, i gdy mi w milczeniu polecającéj się Bogu, prawie do płaczu przychodziło, nadeszła Pani, i za jéj pomocą tak niespodziewanie z kłopotu wybawioną zostałam.“

To wyrzekłszy Helenka, otarła stojące łzy w oczach, przytuliła się do Pani Aleksandrowej, serdecznie ściskając jéj rękę, jakby chciała okazać całą swą dla niéj wdzięczność i zupełną ufność jaką w jéj dobroci dla siebie położyła.

— „Dobrze to wszystko moje dziecko“— odrzekła po chwili opiekunka —„ale z roboty ręcznéj i do tego panience chcieć się utrzymać w Warszawie, to bardzo ciężka praca, i w korzyści dająca tylko nędzne, bez żadnéj przyjemności życie, a na ubranie prawie mało lepsze łachmany, w jakich się dzisiaj znajdujesz.“

— „Trudno proszę pani“ — odrzekła Helenka, spuszczając oczy—„dziś lepiéj żądać nie mogę, bo jeszcze sama wiele nie umiem, ale jak przekonam ludzi o mojéj zdatności i pracowitości, to.....“

—„To się zestarzejesz“—przerwała pani Aleksandrowa, troszkę jakby z niecierpliwością — twarz wychudnie, zmarszczy się, oczy podsinieją, i z Helenki będzie zawsze biedna tylko stara panna z jakiemi trzema dziesiątkami lat na przygarbionych od pracy plecach. — A jednak mówiła daléj, odwracając się z uśmiechem do Helenki, i głaszcząc ją po twarzy —a jednak szkodaby było tego pięknego buziaka tak zmarnować, blasku twoich oczów osłabić pracą i ślę-

czeniem nad niewdzięczną igłą, a paluszków naszyć i uczernić nićmi, jak szewc dratwą i smołą. Ale o tem potem, ja ci co innego obmyśliłam, i zobaczysz, jak się tem ucieszysz, i jak mi będziesz wdzięczną.

Rzeczywiście Helenka pierwszy raz może w życiu słysząc pochwałę swoich wdzięków, o których nawet dobrze nie wiedziała, czuła jak jéj krew do głowy uderzyła, jak lica jéj pokraśniały, i spuszczając oczy, tak się zmieszała, że nie umiała na to ani jednego słowa odpowiedzieć. — Mimo to jednak nie wiedząc dlaczego, dziwny ją strach przejął i do tego tak silny, że nie zważała na swoje sieroce położenie, na nieznajomość miasta, ludzi i na niewiadomość, co z sobą dálej pocznie, chciała uciec i skryć się gdzie daleko przed swą świeżo zyskaną opiekunką.—Ale w téj chwili, kiedy powzięła tak śmiały zamiar i już prawie jeden krok zrobiła naprzód, rozległ się śpiew choralny znanéj wszystkim pieśni „*kto się w opiekę poda Panu swemu.*“ Helenka wstrzymała się, spojrzała w stronę słyszanego śpiewu, a ujrzawszy tłum ludzi z odkrytemi głowami otaczających figurę Śgo Jana niedaleko kościoła księży Reformatów, oświetloną kilkunastu palącemi się lampami, wspomniawszy sobie lata dziecinne i wspólny z matką pacierz, przy którym zawsze pieśń tę odmawiała, nie powiedziawszy ani jednego słowa, spiesznym krokiem podsunęła się ku śpiewającéj gromadce pobożnych, i padłszy na kolana, rzewnemi zalewając się łzami, z oczami wzniesionemi ku niebu, tak się poczęła modlić gorąco z całem oddaniem się modlitwie, że nie widziała, iż wszystkich na siebie zwróciła oczy; nie czuła, jak ją pani Aleksandrowa trącała, i nie słyszała, gdy ta nachylając się, przestrzegała ją, żeby z siebie nie robiła dziwowiska.

Kiedy tak Helenka modli się, prawie nie wiedząc co się koło niéj dzieje, przypadek chciał, że naprzeciw niéj zatrzymał się jakiś pan prowadzący żonę swą pod rękę, a gdy po zmówieniu pacierza podniósł cokolwiek nachyloną głowę, i spojrzał po śpiewającéj gromadce, wzrok jego padł na modlącą się Helenkę. Ujęty jéj nabożną postawą i przy młodości niezwyczajnym wyrazem twarzy, bo pełnym smutku, boleści i wiary zarazem, szepnął coś do żony, ta zwróciła oczy na Helenkę, późniéj coś także odpowiedziała, a ów pan dojrzawszy Panią Aleksandrową, co jak zły duch stała tuż za biedną sierotką, i ciągle ją trącała i szeptała, namawiając do odejścia, zaczął się lepiéj temu przypatrywać. Po chwili oblicze jego zchmurzyło się, błysnął nawet gniew, i przybliżywszy się z żoną do dziewczynki, rzekł łagodnie:

—„I czegóż panienko tak płaczesz, i tak modlisz się“?

Helenka spojrzała, ale zanim zdobyła się na odpowiedź, opiekunka jéj rzekła:

„To moja siostrzenica, chodź Helenko.“

—„O! nie panie“—odsuwając się z przestrachem, zawołała jakby z odrazą Helenka— „nie panie, ja téj pani nie znam, bom ja sierota.“

—„Sierotą jesteś?

—„No chodź Helenko“ pociągając ku sobie dziewczynkę, odezwała się p. Alexandrowa— „już poźno, chodź.....“

—„Ani mi kroku szkaradna babo“— wrzasnął ów pan, groźnie wyciągając ręce „ani mi kroku!....“

—„A to znowu co nowego?“—zapytała hardo, napadnięta kobieta—„co to, rózbój czy co?“

—„Milczeć!“ — wrzasnął znowu pan— i przysuwając się do kobiety dodał ciszéj:

—„Ja cię znam niegodziwa! ruszaj, póki mi zupełnie nie braknie cierpliwości“— a gdy Aleksandrowa nadspodziewanie nie sprzeczając się i bez pożegnania, ruszyła ku placowi Bankowemu, ów pan odwracając się do Helenki, i wypytawszy o niektóre znane nam szczegóły, aż do chwili spotkania się przy figurze, rzekł:

—„Niegodziwa kobieta, byłaby cię moje dziecko zgubiła, ale jeżeli chcesz nam zaufać, to jest oto moja żona, możemy ci u siebie udzielić przytułek, aż do chwili wynalezienia stosownego dla ciebie miejsca.

W głosie i w całem obejściu się obojga tych państwa, tyle było dobroci i szlachetności, że Helenka nie namyślając się, ucałowała ręce obojgu, przyjęła ofiarowaną sobie pomoc, i za staraniem tegoż samego państwa pomieszczoną została u jednéj znajoméj i uczciwéj kobiety, gdzie się między innemi robotami i szycia wyuczyć mogła—otrzymała więc to, czego tak sobie mocno życzyła.—Ów nieznajomy opiekun był to majętny obywatel Stanisław J. zpod samego Krakowa, przybyły czasowo ze słabującą mu żoną do warszawskich doktorów.

Od tego czasu, jak wam powiedziałem, ubie-

gło lat dwadzieścia, i Warszawa się zmieniła, i ludzie w niéj; tylko pozostał ten sam trajkot, hałas i wrzawa licznych przechodniów, i ta sama pobożność ludności Warszawskiéj, która oby w niéj raz nazawsze równie czystą, zacną i poczciwą pozostała! —Otóż w lat dwadzieścia po opowiedzianem powyżej zdarzeniu, jednego letniego wieczora, tak samo jak przy figurze Śgo Jana, śpiewała gromadka pobożnych przy statuy Matki Boskiéj przed kościołem księży Reformatów znajdującéj się.— Kto zna tę statuę, kto ją widział przy zmierzchu nocnym, oświetloną tak dowcipnie urządzonemi latarniami, kto wpatrzył się w pięknie wyrobione oblicze Matki Chrystusa promieniejące otaczającem ją światłem, ten zapewne miejsca tego nigdy nie minął bez uchylenia głowy, i bez tego szczerego westchnienia, które często miléj przez Boga zostaje przyjęte, niż krocie modlitw ustami, a nie duszą i myślą wypowiedzianych.—Uczucie to pobożności widocznie się odbijało w postaciach śpiewającéj gromadki, a widząc jak zgromadzeni klęczący na twardym bruku, korzyli się w śpiewie i modlitwie przed Panem nad Pany, to choćbyś miał najtwardsze serce, choćbyś zupełnie zapomniał się modlić, patrząc na nich w téj chwili, ożyłoby w tobie przygasłe uczucie i śpiewałbyś i modlił się jak tamci, i lepszymbyś odszedł niż byłeś przedtem.

Na boku pomiędzy kobietami, jakby dla większéj ułudy, tak samo jak niegdyś klęczała młoda dziewczynka, nie więcéj jak lat trzynaście mieć mogąca, a mając pokornie złożone ręce i oczy wlepione w twarz Boga Rodzicy, w których malowało się głębokie przejęcie modlitwą, tak była podobną do dawnéj owéj Helenki, z którą dziś Bóg wie co się stało, że gdyby nie przedział lat dwudziestu, gdyby nie ta pewność, że naturalnie nią być nie może, każdy znający scenę, którąśmy powyżéj opisali, w pierwszéj chwili wziąłby ją za dawną Helenkę i mimowoli choć po latach tylu zwróciłby ku niéj swe oczy.— Tuż przy niéj klęczał już niemłody, ale czerstwy i pełen życia człowiek, przyzwoicie, lecz skromnie ubrany, i z rozłożonéj książki wtórował basem śpiewającéj gromadce. O parę kroków stała jakaś żebraczka, oparta na kiju, w łachmanach, z pomarszczoną, opuchniętą twarzą, i trzęsącym zachrypłym głosem naprzemian śpiewała i odmawiała pacierze, a naprzeciwko z bacznie ku nim zwróconém spojrzeniem stał jakiś pan, cały czarno chociaż wytwornie ubrany, siwy, łysy i z widocznie cierpiącym wyrazem twarzy, noszącym ślady bolów i kolców życia, jakich widać dosyć napotkał w doczesnéj swéj pielgrzymce na ziemi.—Kiedy śpiéw ustał, i pobożni śpiewacy zanuciwszy pieśń pożegnalną, poczęli się rozchodzić ku swoim mieszkaniom, ów pan przybliżył się do dziewczynki, i zapytał ciekawie.

—„Moja panienko! powiedz mi, jak się nazywasz?“

—„ Helenka“ — odrzekła skromnie dziewczynka.

—„Helenka?“— z zadziwieniem powtórzył nieznajomy, i jakby do siebie dodał—„ dziwny traf! — co za szczególne zdarzenie.“

—„To jest jéj ojciec, proszę łaski Jaśnie pana“— odezwała się żebraczka, wskazując na owego niemłodego człowieka, któregośmy poznali przy klęczącéj Helence.

—„Idź asani precz!“—z oburknięciem odezwał się ojciec—„bo nawet twoich oczów, twego głosu lękam się, żeby mi nie urzekły dziecka“... Żebraczka coś zamruczała pod nosem, ale została w miejscu, a nieznajomy pan sięgając do woreczka, rzekł:

—„Mój dobry panie, dla biednych zawsze litość mieć powinniśmy w sercach, a łachmany...“

—„Zasłużyła na nie panie dobr.“—przerwał ojciec dziewczynki — „bo pani Aleksandrowa gdyby......“

—„Jakto?“— z zadziwieniem zapytał ów pan—„więc to dawna pani Aleksandrowa?“

—„Tak, ta sama panie! co może jakie ze sto biednych dziewczynek wprowadziła na drogę błędu i nieszczęścia—Oj! ptaszek to, ale Bóg ukarał, bo złe nie uchroni się Jego sprawiedliwego gniewu.“

Żebraczka, dawna Aleksandrowa na te słowa krzyknęła przeraźliwie, jakby ją kto nożem wskróś przebił, zasłoniwszy twarz rękoma, rzewnym zaniosła się płaczem.

Przykry, bolesny to był widok, a gdy ów pan obdarzywszy jałmużną, usunął się cokolwiek na bok od narzekającéj grzesznicy, ojciec dziewczynki rzekł:

—„Kobieta ta panie dobr. dorobiła się nawet swoją niegodziwością ładnego grosza, ale przyszła choroba długa i ciężka, i grosz jak plewa rozszedł się po świecie, że jak powstała z łóżka, nie było za co najpierwszych obegnać potrzeb.

Późniéj odbierając tu i owdzie po ludziach rozrzucony pieniądz, żyła jakiś czas, ledwo nogi powłócząc za sobą, ale z tej desperacyi, czy też z wyrzutów sumienia wzięła się do gorzałki, została poprostu pijaczką, i resztę straciwszy zdrowia, zapuchła. chwyciła za kij żebraczy i włóczy się po mieście, polując na litość ludzką.— Oj! znam ja ją dobrze, a moję żonę omało także nie chwyciła w swoje pazury, i gdyby nie jeden zacny pan....

—„Czy pańskiéj żonie na imie nie jest czasem Helena?— przerwał ów pan z żywością.

—„Helena“-- potwierdził ojciec ze zdziwieniem—„a czy pan dobr. zna moję żonę?

— Ja jestem Stanisław J. obywatel zpod Krakowa.—

— „Pan Stanisław“ — z radością zawołał ojciec dziewczynki -- „a mój Boże! — a jakże się też żona moja ucieszy, a toć my Pana zawsze mamy w pamięci, i na Sty Stanisław na intencyą pańską zawsze dajemy na Mszą Stą.— Ja się nazywam Mateusz Dubicki, jestem krupiarzem, mam sklep w Rotundzie za żelazną bramą“ — i zdejmując czapkę, mówił dalej — „Łaskawy i dobry Panie, racz odwiedzić moję żonę, a to i ona chyba oszaleje z radości, bo to poczciwa, zacna kobieta, i choć była tylko biedną szwaczką, ale ja poznawszy jéj skromność, pobożność i pracowitość, odrzuciłem nawet posażne marmuzele z djabłem za pazuchą, ożeniłem się z biedną, ale poczciwą dziewczynką,— i dziś panie, jestem szczęśliwy całą gębą człowiek, mam chleba po pas, kawał grosza w szkatule pod kluczem żony, któréj pracy i oszczędności wszytko jestem winien, a to moja córka najstarsza Helenka. a druga z chłopcem wrzeszczą matce w domu nad uszami.“ —

Na drugi dzień rano w mieszkaniu Państwa Dubickich, ładnie, schludnie i z pewnym wdziękiem urządzonem, a świadczącem o zamożności i dobrym bycie jéj mieszkańców, siedział na kanapie Pan Stanisław, popijając czekoladę, a naprzeciw niego owa dawna Helenka, a dziś pani Dubicka, któréj czas dodał trochę tuszy, więcéj powagi i śmiałości, a nic prawie nie ujął z wdzięku i szlachetności na twarzy, opowiadała dzieje swego życia, przerywając sama sobie z westchnieniami bolesnemi, i obcieraniem łzy, pokazującéj się w oczach. —Pan Stanisław słuchał opowiadania z wielkiem zajęciem, w końcu którego rzekła dawna Helenka.

—„Wdaniem pańskiem zwolniwszy się od narzuconej mi opieki Aleksandrowéj, przekonałam się, że dla biednéj szwaczki i do tego sieroty w Warszawie, najpierwszym opiekunem jest wiara, ufność w Boga, i szczera do Niego modlitwa.— Że ta podnosząc ducha, uszlachetnia serce, i taką okrywa skromnością i szlachetnością młodą dziewczynę, że źli ludzie zdaleka ją omijają, a złe i pokusa do złego nie śmieją do niéj nawet przystąpić.— Modliłam się też szczerze i z wiarą, ile razy tylko trwoga lub jakaś niepewność w sercu mojem powstały, i Bóg mnie po sześciu latach ciężkiéj pracy, wynagrodził poczciwym mężem, dostatkiem, szacunkiem ludzkim, zdrowiem, i trojgiem żwawych dzieciaków, które pragnę, by się nauczyły modlić i wierzyć.

Kiedy późniéj w godzinę szedł P. Stanisław ulicą zamyślony, rozważając sobie los Aleksandrowéj i poczciwéj Pani Dubickiéj, i widoczną w tem wszystkiem karę i nagrodę Boską, przyłożył rękę do serca, i rzekł sam w sobie:—

— Boże! niezbadane są Twoje wyroki— ukarałeś jednę, nagrodziłeś drugą, a mnie po stracie poczciwéj żony i wszystkich dziatek, dałeś dziś taką pociechę, taką radość, jakiéj już dawno, bardzo dawno nie doświadczałem.—

Narada.

—

(Skromna stancyjka— dwunastoletni chłopczyk mówi do kobiety nakrywającéj białą serwetą stół do wieczerzy).

Już siódma na zegarze, a nie widać tatki.
(rzemieślnik lat średnich otwierając drzwi)
Jak się masz dobra żono!...jak się macie dziatki!
Cóż tu zaszło nowego w poobiedniéj porze?

Żona.

Nic nowego—a tobie jak poszła robota?
Czy lekkim był, jak mawiasz, ciężar twego młota?

Rzemieślnik.

Ciężar młota?— młot lekki jak pióro ptaszęce.
Alboż to od parady człek ma zdrowe ręce?
Alboż to, gdy pomyślę o dziecku, o tobie,
O chlebie dla was dzisiaj, i chlebie napotem,
Nie przybywa mi siły, i nie mówię sobie:
Ha!.. trza jedno i drugie kuć i wykuć młotem,
Ha!... trza się wziąć do pracy w imię Ojca, Syna,
Bo czasu nie dogoni parowa maszyna,
Zdążyć za nim, oto sęk ludzkiego żywota,
A zostać za nim w tyle— nędza i sromota.

ŻONA.

Dobry, poczciwy mężu

RZEMIEŚLNIK.

Ot kochana żono!
Weź, zachowaj ten pieniądz, bo dzisiaj płacono,
Zarobek tygodniowy, trzydzieści dwa złote,
Masz oto dwa dukaty, powiększ tę kwotę.

ŻONA.

A każdą z tych złotówek oblałeś swym potem,
A każdą z nich wykułeś twoim ciężkim młotem.

RZEMIEŚLNIK.

Mniejsza z tem....ot daj wody i przyrządź wieczerzę,
Bo dzisiaj walną radę złożymy o Julku.
(*zwracając się do syna, mówi:*)
Powiedz mi synu miły! czy cię chętka bierze
Pracować, jak twój ojciec?

SYN (*składając książkę*)

Drogi mój ojczulku!
Jabym na ptasich skrzydłach pobiegł do terminu,
A ty nie chcesz mnie oddać.

RZEMIEŚLNIK.

Oddam cię mój synu
Lecz pierwéj będziesz chodził uczyć się do klasy.
„Trza umysł pierw oświecić; dziś takie są czasy,
„Że partaczem rzemieślnik bez oleju w głowie;
„Dziś machiną dzieł ludzkich wyższa myśl obraca,
„A jednem z kółek onéj: rzemieślnik i praca;
„Praca to więzy wprawdzie, lecz więzy ze złota,
„Kto je dźwignie z pogodą, z uśmiechem na czole,
„Ten z uśmiechem przepląsa swe lata pachole,
„I z uśmiechem przebędzie dalszy bieg żywota."—
Tak mówił dzisiaj do mnie, moje miłe dziecię,
Twój stary nauczyciel, co nie wiem już za co,
Tak lubi, tak ukochał naszego ladaco,
Tak radby mu szczęśliwą dolę dać na świecie.

SYN.

Nauczyciel mój ojcze!... on... tak bardzo rzadko,
Wdający się w pochwały, choć kto wart pochwały;
Nieraz lekcyę wydam i składnie i gładko,
Zawsze powie: Tak, nieźle, lecz lepiéj trza mały!
Zawsze kwaśny, niekontent, choć czasem Bóg widzi
Niczem mu nie zawinię, w niczem nie przes krobię..

RZEMIEŚLNIK.

Złotą kredą, mój synu zanotuj to sobie,
Że kto zbyt w oczy chwali, ten za okiem szydzi,
Nauczyciel twój owszem, mówił mi w sekrecie,
Żeś dobre, pracowite i posłuszne dziecię,
Że cię lubi, choć czasem zburczy i wyłaje,
Że cię kocha, choć tobie inaczéj się zdaje.

SYN.

O godny, dobry człowiek!.... mój Boże, mój Boże!
A jam sądz ił niebacznie, że to być nie może.—

RZEMIEŚLNIK.

Słuchajcie, co mi daléj mówił zacny człowiek:
„Pierwéj nim syn twój, czy heblem czy młotem,
„Pocznie pracować na kawałek chleba,
„Trzeba mu pierwéj — o! pierwéj mu trzeba,
„Umysł ozdobić nauki klejnotem...
„Trzeba myśl pierwéj rozdmuchać w twym synu,
„Bo myśl— to pierwsza rodzicielka czynu,
„Bo myśl— to tłumacz téj księgi przyrody,
„W któréj jaśnieją cuda, dziwy Boże,
„Cuda tak wielkie, że umysł w nim młody,
„Ani ich pojąć, ni ogarnąć może....
„Pójdź więc Józefie! po rozum do głowy,
„Daj syna uczyć— a dopiero potem,
„Gdy się ukształci, obierz mu stan nowy;
„Rozum niech ręką, a ręka niech młotem
„Na chleb pracuje i przeszkody łamie."
I dużo jeszcze mówił zacny człowiek,
Aż łzy mi wdzięczne nabiegły do powiek,
Ręką mu ścisnął, ucałował ramię,
I przekonany rozumnemi słowy.
Przychodzę z tobą naradzić się żono,
Boć to rzecz jawna, najjawniejsza pono,
Że mądra jedna, lecz mędrsze dwie głowy.—
. . . .
. . . .
Po długiéj radzie— matka w objęcia
Tuli z uczuciem głowę dziecięcia,
I błogosławi drogę żywota,
Nad którą gwiazdka błyszczy mu złota,
Jak owa gwiazda trzech mędrców Wschodu,
Co ma prowadzić chłopca zamłodu,
I zaprowadzić pod okiem Nieba,
Do dwóch przybytków: szczęścia, i.... chleba.—

W miesiąc czasu po owéj rozumnéj naradzie,
Syn ślusarza był uczniem w publicznym zakładzie,
I wkrótce posłuszeństwem, pilnością wzorową,
Zyskał wzgląd przełożonych i miłość kolegów,
Zyskał to, co się zyska nie sztuką zabiegów,
Lecz sercem a rozumem, uczuciem a głową.
W lat kilka ten sam młodzian, wzrosły już i hoży,
Młodzian poważniejszego, choć młodego lica,
Przyszedł z szkolnym patentem po radę rodzica,
I spojrzeli obadwa na ludzi, w świat Boży,
Gdzie tyle głów, a każda co innego radzi,
Gdzie tyle dróg, a każda gdzieindziéj prowadzi.—
Patrzą po tych gościńcach....ten wprawdzie szeroki,
Lecz pełno na nim dołów, niewidzialnych sideł;
Łatwo tu jest zabłądzić i pomylić kroki,
Tyle napotkasz fałszu, ułud i mamideł.
Owdzie drugi gościniec.... mój Boże, mój Boże!!
Ciasno tu— i niewidno poczciwego celu.
Droga to nie dla Ciebie młody przyjacielu!
Mińmy ją, bo na przepaść wiedzie to bezdroże!
Po namyśle więc młodzian wziął się do rzemiosła
W lat trzy był czeladnikiem, dobrze mu się działo,
Oszczędzał, co z zarobku oszczędzić się dało,
I grosz składał do grosza, aż sumka urosła.
Z sumką przeszedł niedługo na własną robotę,

I sumka w coraz większą zmieniała się kwotę.—
. . . .
Różnie było: źle, dobrze, znów lepiej, znów gorzéj,
Zawsze jednak człek młody przy pomocy Bożéj
Pracował, i rozumnie znosił losu chłosty,
I hartował się, idąc przez ciernie i osty.
I nigdy nie posmutniał...— ba! owszem na twarzy,
Ciągłe mu kwitnie szczęście, ciągły uśmiech gwarzy.
Rzekłbyś, ślusarz wyczytał, czy w sercu czy w głowie,
Że Pan Bóg dał mu rozum, i siłę i zdrowie,
By przodkował swéj braci, i dowiódł jéj gwoli,
Kędy droga do szczęścia i pomyślnéj doli.—
Żył podówczas fabrykant Wawrzyniec, był w wieku,
Miał córkę jedynaczkę i zakład nielada.—
Przychodzi doń znajomy i dziwy powiada
O takim to, a takim rozumnym człowieku,
Co takie to, a takie przyjąwszy nauki,
Jest teraz zdolnym majstrem rzemieślniczéj sztuki.
Coś szepło staruszkowi i..., poszedł na zwiady.—
Wszyscy mówią to samo....Ha! gdy mądra głowa,
Trzeba pomódz i wesprzeć,—więc jedno, dwa słowa,
I młodzian wziął w swe ręce Wawrzyńca zakłady.
Stary wnet go zrozumiał i ocenił zbliska.
I rozpoczął rozważać, co straci, co zyska?
Aż kiedy się przekonał, i widział w tem szczęście,
Dał córkę ukochaną Julkowi w zamęźcie;
Widząc zaś, że już stary, że już i grób blisko,
Zmienił firmę fabryki na zięcia nazwisko.

Bóg zawsze błogosławi poczciwe zamiary;
Lecz trzeba dźwigać brzemie pracy a ofiary,
Nie upaść, choć się pada wśród żywota drogi,
Nie zwątpić, choć się idzie przez ciernie i głogi;
Bo owe ciernie, głogi, kolce i cierpienia,
Czas, rozum, praca, pilność na róże zamienia. —

Agnieszka Tasiek.

—

W Niedzielę dnia 2go listopada r. z. około godziny 4téj z południa, przed kościołem Sgo Krzyża widziano skromny karawan otoczony nielicznem, ale prawdziwie zasmuconem gronem ludzi.

Był to pogrzeb Agnieszki Tasiek służącéj, która nieszczęśliwym wypadkiem przy pracy przebiwszy sobie własną igłą rękę, pomimo najusilniejszych zabiegów, z gorączki umarła.—

Agnieszka przyjęła naprzód służbę za piastunkę: po kilkoletnim przeciągu czasu pełniąc to piastunki, to kucharki obowiązki, wypiastowała czworo dzieci, które ją serdecznie kochały.— Nie była ona zdolną do pochlebstwa, zawsze surowa, a nawet nieco szorstka, tylko prawością zyskiwała niewielu, lecz prawdziwych przyjaciół.— W domu posiadała zaufanie, bo też go nigdy nie nadużyła; szczęście domowe nie uzuchwalało jéj, nieszczęście nie osłabiało jéj prawości i przywiązania do domu, w którym służyła, a szczególniéj do dzieci. Nic więc dziwnego, iż dziś boleść szczerze się na twarzach wszystkich malowała.

Czas wolny od zatrudnień spędzała w kościele, lub wśród dzieci, i umarła jak na chrześciankę przystoi.

To też patrzcie, że i po śmierci umiano cenić jéj zasługi — gdy oto za trumną Agnieszki widziano pana i panią z dziećmi, u których nieboszka uczciwe usługi pełniła.

Mówią, że trudno znaleść dobréj służby — zaręczyć mogę, iż wszystkie będą bardzo dobre, jeśli tylko państwo w sługach znajdą przychylnych i poczciwych domowników.

Przestroga.

—

Na jednem z przedmieść Warszawy chowano dla bezpieczeństwa domu, ogromnych brytanów, z którymi drażnił się mały Antoś, wracając ze szkoły. Zwykle uderzał w parkan, i pobudzał przez to do szczekania ogromne psy, co go niezmiernie bawiło. Napróżno starsza siostra upominała go, aby poprzestał tak niebezpiecznej zabawki; nie słuchał jéj upomnienia swawolny chłopiec. I gdy razu jednego przechodząc, według zwyczaju zaczął przez parkan drażnić się z psami, te wybiegły na ulicę otwartą bramą, czego Antoś nie uważał, i rzuciły się na bezbronnego. Zajadłe brytany tak pokaleczyły owego chłopca, że z ran poniesionych mocno i długo chorował, i gdyby nie troskliwe starania rodziców, umarłby w okropnych męczarniach.

Niechże ten smutny wypadek stanie się przestrogą, że wszelka zbytnia swawola, może się stać przyczyną nieszczęśliwych wydarzeń.

W drukarni J. Unger.—Wolno drukować. Warszawa d. 28 grud. (9 stycznia) 1856/7 r.—Starszy cenzor. F. Sobieszczański.